

W sobotni wieczór wrocławski NFM zaskoczył nas stosunkowo nietypowym koncertem, który tak naprawdę powinien być czymś codziennym, stanowiącym cłou filharmonicznych programów. Nie jest bowiem codzienną w filharmonicznych salach prezentacja dzieł współczesnego kompozytora, dokonywana przez niego samego. Zazwyczaj słuchamy dzieł z przeszłości. Nie musimy przy tym wracać do kochanego przez wielu melomanów baroku. Na przykład obchodzimy właśnie 250-lecie urodzin Beethovena. Ćwierć tysiąca lat to jednak wiele ludzkich pokoleń... Ale nawet uchodzący wciąż za twórcę muzyki współczesnej Schönberg swoje ostatnie dzieła pisał wtedy, gdy dopiero wchodziły do użytku płyty winylowe po swoich mniej doskonałych siostrach – szelakach.

Francesco Bottigliero jest włoskim, wykształconym w swoim kraju kompozytorem, który od 2007 roku mieszka we Wrocławiu.

Związki z miastem stu mostów nie są w jego wypadku tylko symboliczne. Na przykład w 2009 roku miała premierę jego Kantata Tumska na solistów, chór, chór dziecięcy i wielką orkiestrę symfoniczną. Archaiczną nazwę Ostrów Tumski nosi dawna wyspa (obecnie półwysep) z którego Wrocław startował w IX wieku. Innym polskim tropem w twórczości Bottigliero jest też opera Pani Walewska. Artysta studiował w Salerno, Avelino i Neapolu, zaś premiery jego dzieł mają miejsce nie tylko we Włoszech czy w Polsce, ale również w tradycyjnie już otwartych na muzykę współczesną Niemczech. Podobnie jak niejeden kompozytor, Bottigliero jest także aktywnym dyrygentem, a w jego repertuarze zwraca uwagę spora liczba oper i operetek. W sprzedaży są dostępne dwie płyty kompozytora, wydane przez polski DUX. Pojawiają się na nich nazwiska Christiana Danowicza, koncertmistrza Orkiestry Leopoldinum, która także (wraz z Danowiczem) była bohaterką sobotniego koncertu. Na płytach, jak i na wrocławskim koncercie pojawił się także dobry włoski kłarnecista Giovanni Punzi. Grał on Koncert

klarnetowy Aarona Coplanda i Clarinet portraits Bottigliero, obydwie dzieła piętrzyły przed nim pułapki, a on pokonywał je z dużym wdziękiem, grając tonem jasnym, z ogromną zwinnością.



Z dzieł Bottigliero najbardziej przypadły mi do gustu Cuatro retratos espanoles (w wersji na orkiestrę smyczkową), gdzie stylizowane taneczne motywy Iberii i chyba też Ameryki Łacińskiej nakryte były intrygującymi glissandami smyczków. Stylizacje były ciekawe i niebanalne, choć cała twórczość Bottigliero zdecydowanie nie leży po stronie spadkobierców

Weberna. To muzyka zainspirowana motywami tanecznymi, walcami i tangami, łatwa w odbiorze. W niektórych momentach przywodzi na myśl muzykę filmową, w innych ma w sobie dalekie echa romantyzmu przełamane modernistycznymi pomysłami, których jednak nie ma w nadmiarze. Na przykład Penderecki, w swoim najbardziej nawet tonalnych i „łatwych” utworach (również tych filmowych) jeży znacznie mocniej kolce nowoczesności, nie pozwalając nam zapomnieć, że stał kiedyś po stronie Weberna i Bouleza. Sądę, że twardzi muzycyści moderniści, którzy zresztą już chyba wymierają, mogliby się wręcz rozgniewać na wyobraźnię muzyczną włoskiego twórcy. Ja do nich należę tylko jedną stopą (ale za to mocno stojącą na atonalnym gruncie gustów) i cieszę się, że są kompozytorzy, i to we Wrocławiu, którzy potrafią pisać muzykę łatwo zrozumiałą dla przeciętnego miłośnika muzyki, którego nie budzą o poranku muzyczne haiku Weberna czy drapieżne eksperymenty nieodżałowanego Bouleza.

Program koncertu zmienił się w stosunku do zaplanowanego. Zamiast „Muzyka trwa” usłyszeliśmy dwa ogniwa suity na klarnet, skrzypce (Danowicz) i fortepian (sam kompozytor). Muzycy grali wśród pustych krzeseł pozostawionych przez Orkiestrę Leopoldinum, której muzycy udali się na przerwę. W tej zaimprovizowanej prezentacji było coś tak uroczego, że nie mogłem się nie uśmiechnąć. Oto słuchamy muzyki, która powstaje niemal na naszych oczach. Tak powinno być częściej!



Giovanni Punzi / fot. Karina Thoraansen

Oprócz Coplanda i dzieł Francesco Bottigliero, usłyszeliśmy dwa utwory japońskie. T. Takemitsu Music of Training and Rest i Y. Akutagawa Triptyque for string orchestra. Takemitsu trochę mnie rozczarował dość banalnym tangowatym tematem, do muzyki zresztą filmowej. Za to mało znany Akutagawa zaczarował mnie pięknym połączeniem neoklasycyzmu i wątków japońskich. Szczególnie piękna była środkowa, elegijna część tryptyku. W wesołej i energicznej części pierwszej nie doszukałem się, tak jak dyrygent – kompozytor refleksji nad Hiroszimą, ale tak czy siak była ona bardzo ciekawa.

Orkiestra Leopoldinum odnalazła się w tej niezbyt rewolucyjnej muzyce (w czym nic złego) doskonale. W końcu od lat wykonują

Piazzollę, łącząc go (jak sam chyba chciał) choćby z Vivaldim. Bottigliero dyrygował bardzo zamaszyście, uzyskując brzmienie żywe, nie zatopione w detalach, za to bardzo komunikatywne.